



## CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.— Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.— Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

Treść.—Na letniem mieszkaniu, (z drzeworytem), przez Władysława Nowickiego, (ciąg dalszy).—Opowiadania naukowe dziadunia (z drzeworytami), przez M. J. Z.—Anekdoty historyczne, z Waleryusza Maksyma.—Z dziejów sławy, przez Romana Gryfa.—Pamiętniki Jasia, przez Piotra Jakśę Bykowskiego.—Gra towarzyska.—Zagadka historyczna.—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi.—Śpiew.—W dodatku dalszy ciąg Historii Biblijnej, przez Z. Zajęzkowską.

### NA LETNIEM MIESZKANIU.

OPOWIEDZIAŁ

**Władysław Nowicki.**

(Ciąg dalszy).

Droga szła po grobli, a po obu stronach drogi rozciągały się łąki, zarosłe wierzbą, krzewami; zdala na lewo widać było dużą przestrzeń wody—byłto staw. Bujna roślinność otaczała wodę, najwięcej było tataraku i trzciny wyniosłej, ciemniejszego koloru niż tatarak.

Jakiś szum dolatał zdala i wznagał się coraz więcej; to dodawało zaciekawienia. Mięli dużą kępę drzew i zaraz niedaleko zobaczyli budynek, a przy nim koło wielkie, na które woda spadała z szumem, obracając je.

— Młyn, młyn wodny—zawołała Józia. — Adasiu, powiedzno twój wiersz o młynie.

Tam na górze brzezina,  
Przy brzezinie dolina,  
Przy dolinie staweczek,  
Przy staweczku młyneczek.



M ł y n.



Szumi woda i płynie,  
Kręcąc koło przy młynie;  
Młyn się trzęsie i miele,  
Młaki, kaszy da wiele.

— Tato! tato—a tam co na wzgórku za łąką,  
przy tym lasku małym?

— Czy nie poznajecie, przecież widzicie,  
że to jest cmentarz. W pośrodku wznosi się  
krzyż wysoki, a na okolo krzyże mniejsze,  
są to nagrobki. W tym niewielkim kawałku  
ziemi oparkanionym zasnął snem wiecznym  
całe pokolenia kilku wiosek. W tym ko-  
ściółku modliły się Bogu, a tutaj popioły ich  
spoczywają.

Dzieci zapatrzyły się w stronę cmentarza,  
wtém coś zadudniło pod nimi, obejrzały się  
przerażone i ujrzały bryczkę na moście. Bry-  
czka szła nad samą baryerą, mogły więc wi-  
dzić jak woda pod most płynęła.

— To jest woda bieżąca, a tamta w sta-  
wie była stojąca—rzekła Józia do Adasia.

— Tak,—odrzekł Adaś—tamta stała w  
miejscu, a ta płynie, bieży.—A dla czego wo-  
da płynie?

— Woda spada zawsze tam, gdzie niżej;  
rzeki płyną zawsze z góry na dół. Jeżeli  
brzegi rzeki są niskie, a woda przybierze (np.  
po wielkim deszczu), to rozlewa się ona na  
boki, zalewa pola i łąki; często wylew rzeki  
niszczy zboża i wszelką roślinność, niszczy  
mosty, drogi; wielki i gwałtowny wylew na-  
zywa się powodzią.

— A dla czego woda w stawie nie płynie?

— Bo nie ma gdzie płynąć, bo jest otoczona  
naokoło brzegami, jak zupa na talerzu.  
Jeśli wody przybędzie, może nastąpić wylew  
stawu, dla tego z najniższej jego strony lu-  
dzie sypią tamy, groble t. j. wały ziemne,  
ażeby nie puścić wody; właśnie przez taką  
grobę przejeżdżaliśmy.

Słońce chyliło się coraz więcej ku zachodowi;  
cienie drzew stawały się coraz dłuższe.  
W obec tego dziewczynki prześcigały się  
w przytaczaniu odpowiednich wierszy.

— Pamiętasz—mówiła Zosia—jako Bro-  
dziński mówi:

„Dzień rumiany spuścił oczy,  
„Cień kwitnące krzewy mroczy.

— Pamiętam, i więcej jeszcze pamiętam:

„Na kościółku krzyż blaszany  
„Błyszczy blaskiem zórz oblany.

— A ja jeszcze więcej pamiętam:

„Wzniosła lipa przy kościele  
„Długi cień na pola ściele;  
„Jakoby łzami żałoby  
„Rosa upada na groby.“

— Ja pamiętam—rzekł Adaś:

„Tam na górze brzezina.....

— Siedź cicho, mały—rzekły siostry, śmie-  
jąc się wesoło.

— Rodzice tymczasem patrzyli poważnie  
w stronę lasu, a właśnie w tej chwili zacho-  
dziło za las słońce, a zachodziło tak pięknie,  
może piękniej jeszcze, niż opisuje najznakom-  
itszy nasz poeta Mickiewicz:

„Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,  
„Mniej silnie, ale szerzej niż we dnie świe-  
[ciło,

„Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze  
„Gospodarza, gdy, prace skończywszy rol-  
[nicze,

„Na spoczynek powraca. Już krąg promie-  
[nisty

„Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok  
[mglisty

„Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,  
„Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa.

„I bór czernił się, nakształt ogromnego  
[gmachu,

„Słońce nad nim czerwone, jak pożar na  
[dachu,

„Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez  
[konary

„Błysnęło jako świeca przez okienie szpa-  
[ry,

„I zgasło.“

— Ach, Brzozówka, Brzozówka!—zawo-  
ływały dzieci, ukazując na wioskę, rozciągającą  
się z lewej strony za figurą przydrożną i  
klaszcząc w dłonie.

Ściągało wszystko do wioski: od lasu szły  
trzody bydła, z pola stada owiec, z nad łąk

chłopcy powracali z końmi, dzieci pędziły gęsi. Słychać było wesołość i śpiewy i przeciągle tony fujarki, i nawoływania ludzi, i głosy zwierząt i ptaków, i rachotanie żab, i skrzypienie żórawi u studni. Cień wieczorny rozciągnął się wokoło. I już okolica inna była niż za promieni słonecznych, była jak dom modlitwy cała. W tej chwili właśnie dał się słyszeć cichy głos dzwonka, z dalekiego kościółka wzywający na Anioł Pański. Cisza panowała pomiędzy jadącymi; modlili się. Spokój panował długo; wyszeptane modlitwy uleciały już w górę, a w duszy wciąż jeszcze grała wewnętrzna modlitwa, uwielbienie dla Tego, który tak pięknie, tak majestatycznie świat stworzył.

Nie śmiały dzieci przerywać tego uroczystego milczenia, tylko Zosia powtarzała sobie pociechu pacierz Ujejskiego:

Tak jasno, zielono, a wieczór tak cichy;  
Na gniazdko ptak leci, kwiat stula kielichy

I perlą się rosy świecące.

Tam wiejskie pachole pofleca z pagórka,  
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,  
Tam skrzypią chruściele na łące,  
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,  
I szemrze mącona rzeczulka,  
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną,  
I ozwał się dzwonek z kościółka:

Anioł-Pański...

O! dzwonek – skowronek lubuje w swym  
[głosie,

To skacze po górach, to ślizga po rosie,  
Powodzią się tonów rozlewa.

A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rze-  
[czny,

Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek sło-  
[czny—

To wszystko się modli i śpiewa.

I dusza ku górze na skrzydłach ucieka!

I pełnią żywota pierś rośnie;

Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,

Więc dalej do chóru najgłośniej:

Anioł-Pański...

(d. c. n.)

## OPOWIADANIA NAUKOWE DZIADUNIA.

### IV.

#### Promienie światła i barwy.

— Dziadziu, o dziadziu!—wołała Zosia, wbiegając do biblioteki niezwykle ożywiona i zarumieniona—co ja za prześliczną rzecz widziałam w tej dużej ciemnej sieni!

A tuż za Zosią biegł Adaś, także z zaiskrzonymi oczyma i wołał już od progu:

— Śliczności, dziaduniu, śliczności! na ścianie w sieniach zrobiła się fotografia, a taka malutka, a taka zabawna, do góry nogami przewrócona. Ja doprawdy nie rozumiem, jakim to sposobem się stało; drzwi zamknięte, okna tam niema żadnego, a przecież poznałem odrazu, że to ten dom, co stoi naprzeciwko, odrysował się jakby na jakim obrazku.

ZOSIA. I tak dziwnie, do góry nogami.

DZIADZIO. Pewnie tam we drzwiach musi być niewielka dziureczka okrągła, nieprawdaż?

ADAŚ. Ach, jak to dziadzio odgadł! wczoraj nie było jej jeszcze, a dziś wyleciał przypadkiem jakiś kołek... ale czyż to być może, żeby przez taką dziureczkę wpadł do tej sieni jakby cień jakiś malutki wielkiego domu?

ZOSIA. Cień nie mógłby znowu padać do góry nogami; to coś innego.

DZIADZIO. Masz słuszość; nie jest to wcale cień, a jednak nie ulega wątpliwości, że obraz tego domu przez ową małą dziurkę wpadł do sieni i odbił się na ścianie. Adaś też bardzo właściwie nazwał to fotografią, bo rzeczywiście toż samo zupełnie się odbywa w owej skrzyni, przed którą was sadowią u fotografa. Tam także jest mały otwór okrągły, ale szkiełkiem opatrzoney, a obraz wazych postaci przechodząc przez to szkiełko, nadzwyczaj wyraźnie i dokładnie odbija się na przeciwległej ścianie skrzyni.

ZOSIA. Ja zawsze bardzo byłam ciekawa, jak to się robi fotografia.

ADAŚ. A ja już wolałbym wprzód się do-



wiedzieć, jakim sposobem ten dom odrysował się tak dziwnie w naszej sieni.

DZIADZIO. Patrz, oto masz rysunek, na którym toż samo zjawisko jest przedstawione. Czy widzisz te linie, krzyżujące się w małym otworku? to są promienie światła.

ZOSIA. Promienie światła? Ja tak często o nich słyszę, a doprawdy, żeby mię kto zapytał, co to jest takiego, nie wiedziałabym sama, co powiedzieć.

DZIADZIO. Promień jest to linia prościutka, po której bieży światło. Przypomnijcie sobie, cośmy tak niedawno mówili o cieple, że to jest drganie niezmiernie drobnych cząsteczek; otóż i światło wyobrażamy sobie także jako drganie podobne, z tą jednak różnicą, że ciepła nie widzimy, tylko je za dotknięciem czujemy, a światło szczególne wrażenie wywiera na nasze oko i budzi w niem zmysł wzroku. Drganie to zawsze się posuwa po linii prostej, tworząc promień ciepła lub światła. Wszak nieraz widzieliście zapewne, gdy służąca zamiata i kurz unosi się w pokoju, jak wśród tego kurzu ukazuje się jasna smuga. Otóż to właśnie jest droga, po której bieżą promienie. Ale trzeba wiedzieć, że światło od każdego punktu jasnego rozchodzi się takimi prostymi promieniami na wszystkie strony. Gdy lampa pali się na stole, w całym pokoju jest widno, a gdy słońce zajaśnieje na niebie, wszystko się naraz rozjaśnia.

ZOSIA. Już wiem, dziadziu, to promienie światła słonecznego wpadły przez dziurkę do sieni; ale jakimże one sposobem przyniosły tam z sobą obraz tego domu?

DZIADZIO. Gdy promienie światła padną na jaki przedmiot z natury swój ciemny, wnet się od niego to światło odbija i bieczy we wszystkich kierunkach dalej. Oto na rycinie przedstawione jest zjawisko zupełnie podobne do tego, któreście widzieli w sieni. Od każdego punkciuku tego domu rozchodzą się promienie; patrzcie, jak tam na rysunku, jeden od dachu zmierza prosto do małego otworku i pada na przeciwległą ścianę; drugi tym samym sposobem od dołu trafia do otworku, w którym krzyżuje się z pierwszym i pada na ścianie znacznie wyżej od niego. Otóż to dla tego dom ukazuje się oczom na-

szym do góry nogami, bo promienie ze wszystkich punktów idące podobnie się krzyżują i tworzą całkowity obraz, znacznie zmniejszony. Patrząc na kierunek promieni, możecie nawet i to zrozumieć, że gdyby ściana była więcej zbliżona do otworku, obraz byłby jeszcze mniejszy.

ADAŚ. Jakież to dziwne, doprawdy. Ale to pewnie i fotograf, jeśli chce komuś większą twarz zrobić na fotografii, to odsuwać musi ściankę w swojej skrzyni troszkę dalej.

ZOSIA. A jak chce, żeby się ktoś pomieścił na małej karteczce od stóp do głowy, to ją bliżuténko przysuwa; nieprawdaż dziadziu?

DZIADZIO. Wybornie; widzę, żeście mię zrozumieli. A czy wiecie wy, moje dzieci, że nasze oko jest także takim samym przyrządem, jak ciemnica optyczna, tak bowiem nazywa się owa skrzynia fotografa. Promienie idące od wszystkich jasnych przedmiotów, wpadają w oko, a nawet krzyżują się w niem tak zupełnie, jak w ciemnicy i tak samo na ścianie się rysują.

ADAŚ. Już jeżeli dziadunio to wytłumaczy... czyż ja mam w oku jaką dziurkę, albo jaką ściankę?

ZOSIA. A ja pewna jestem, że dziadunio dobrze wie, co mówi i że w końcu zawsze zrozumiem; ale doprawdy bardzo jestem tego ciekawa.

DZIADZIO. I ja także nie wątpię, że mnie zrozumić potraficie. Gdybym chciał wam opisać dokładnie budowę oka i wszystkich części, z których się składa ten cudowny przyrząd, to zapewne i mnie nie przysłoby to z łatwością i dla was nie byłoby dziś jeszcze dostępne; ale nam o to tylko idzie, żebyście jakiegokolwiek o tém mieli wyobrażenie. Adaś naprzykład powiada, że w jego oku niema ani dziurki, ani ścianki. Otóż w tém bardzo się myli. Otworkiem, przez który wpadają promienie, jest źrenica, ona właśnie dla tego nam się czarna wydaje, że jest próżna. Za źrenicą leży wypukła warstewka przezroczystej, galaretowatej materyi, zupełnie podobna do tego szkiełka, które jest wprawione w małym otworku w skrzyni fotografa i tak samo jak to szkiełko, soczewką

się nazywa. W głębi oka, znajduje się delikatna tkanka nadzwyczaj misternej budowy, siatkówką zwana i na nią, tak jak na ścianę ciemnicy, rysują się obrazy przedmiotów, które tym sposobem stają się dla nas widzialne.

ZOSIA. Ach, dziadziu, żeby mi to kto inny powiedział, tobym doprawdy nie mogła uwierzyć. A więc ja nie widzę tego wielkiego domu, co tam stoi naprzeciwko, tylko jakąś małą fotografią tego domu, odrysowaną w głębi mego oka, na tej siatkówce. Czy tak naprawdę dziadziu?

ADAŚ. Dobrze przynajmniej, że ci się ten dom nie odrysował do góry nogami w oczach, tak jak na ścianie w sieni.

DZIADZIO. Otóż w tym właśnie się mylisz, bo rzeczywiście w każdym oku Zosi odrysowany jest dom do góry nogami, zupełnie tak samo, jak w sieniach.

ADAŚ. W każdym oku? toż ona tym sposobem widziałaby dwa domy.

ZOSIA. Ale bo doprawdy z oczami czasem coś takiego dziwnego się robi, że się w nich wszystko dwoi na chwilkę. Czy ty nie umiesz tak zrobić, Adasiu?

ADAŚ. Gdzietam nie umiem; ot i teraz nawet widzę dwie szafy i dwie lampy na stole i dwie Zosie.

DZIADZIO. Zaczynasz więc sam się przekonywać, że każde z twoich oczu widzi przedmioty z osobna. O tym także wątpić nie można że się te przedmioty rzeczywiście rysują na naszej siatkówce, bo uczeni ludzie robili nieraz doświadczenia na oczach zwierząt nieżywych, na przykład na wielkim oku wołu; trzymając przed nim świecę zapaloną, widzieli w głębi oka, na siatkówce, małe obrazy tej świecy, do góry nogami odwrócony. Niesłusznie jednak Zosia sobie wyobraża, że wzrokiem naszym widzimy tylko obrazki odrysowane na siatkówce oka, tak jak gdyby dusza siedziała gdzieś za tym obrazkiem i patrzyła na niego. Trzeba to inaczej pojmować; promienie padają na siatkówkę, tworzą na niej obraz, a zarazem pobudzają nerwy, mające związek z mózgiem. Tym sposobem budzi się w duszy naszej świadomość tych promieni i ich kierunku. Wówczas to zape-

wne, w skutek tej świadomości, spostrzegamy przedmioty w rzeczywistości ich postaci, jak gdybyśmy myśla, pojęciem, mogli wybiedz w kierunku tych promieni, które obraz do oka naszego przyniosły i natrafić na te punkta, z których one wyszły. Tak samo możemy wytłumaczyć, dla czego nie widzimy przedmiotów podwójnie; dwa jednostajne obrazy w pojęciu naszym zlewają się w jeden.

ZOSIA. A co, czy nie mówiłam, że dziadzio to wszystko jakoś wytłumaczy i można będzie najdziwniejsze rzeczy zrozumieć.

ADAŚ. To jednak bardzo zabawnie pomyśleć sobie, że się ma dziurkę w oku i takie jakieś małe obrazki gdzieś głęboko, na tej osobliwej siatkówce. A te promienie, to niby coś a tu naprawdę nic w nich niema, tylko jakiś dziwny ruch, jakieś drganie, jak dziadunio powiada.

ZOSIA. I zawsze te promienie lecą prościutecznie, jak strzelił.

DZIADZIO. Jużto nie zawsze; jeżeli przechodzą ciągle przez warstwy powietrza jednakowej gęstości, bieżą w kierunku zupełnie prostym; ale jeżeli natrafiają na coś gęstszego lub rzadszego, jeżeli na przykład z powietrza przechodzą do wody lub szkła, zaraz zmieniają kierunek, jakby się załamywały. Sprobuj zanurzyć w wodzie do połowy kijek zupełnie prosty. Obaczysz, że wyglądać będzie jakby przełamany, jeśli go trzymać będziesz trochę ukośnie, bo promień prostopadły się nie załamuje.

ADAŚ. O, ja to nieraz widziałem, dziaduniu, ale nie wiem co to znaczy.

DZIADZIO. To znaczy, że promienie od tej połowy kijka zanurzonej idą do twojego oka w odmiennym trochę kierunku. W szkłe, które jest gęstsze od wody, promienie załamują się więcej jeszcze, a jeżeli przejdą przez szkiełko trójkątne, wówczas przedstawiają nowe, bardzo ciekawe zjawisko, ukazują się w postaci barwnej tęczy.

ZOSIA. Dziadziu, ja to doprawdy widziałam! Te szkiełka, co wiszą w salonie przy wielkiej lampie, takie śliczne tęcze małe rzucają zawsze po ścianach, gdy słońce zaświeci. Że też mi nigdy nie przyszło na myśl zapytać dziadunia, co to znaczy.



DZIADZIO. To jest także rzecz niezmiernie ciekawa, o której warto pomówić obszerniej. Wszak wiecie, że w ciemności nie możemy żadnych barw rozpoznać; wszystkie przedmioty wydają się nam czarne, lub jednostajnie szare, jeśli je dostrzedz możemy. Wido-  
cznie więc barwy pochodzą od światła. Tym-  
czasem światło słoneczne jest białe; zkad-  
że się biorą te rozliczne odcienie zielone, czer-  
wone, niebieskie i tyle innych, które tak cu-  
dnie zdobią ten świat boży?

ZOSIA. Mój dziadziu, bo to już tak Pan Bóg dał, że listeczki i trawki są zielone, a kwiatki różne przesliczne mają barwy i mo-  
tyłki także; czyż to można wiedzieć dla  
czego?

DZIADZIO. Czemużby nie można? Wszyst-  
ko na tym świecie od Boga pochodzi, darem  
Jego jest także i ten rozum, który nam do-  
zwala dzieła boże pojmować i tłumaczyć  
przyczyny cudownych zjawisk przyrody.

ADAŚ. Więc to naprawdę, dziaduniu, mo-  
żna wiedzieć, dla czego jedne rzeczy są czer-  
wone, a drugie żółte lub zielone?

DZIADZIO. Czy widzieliście kiedy ognie  
bengalskie? czy domyślacie się, dla czego  
przy tém oświetleniu wszystko się nam wy-  
daje jednostajnie różowe, lub zielone?

ADAŚ. O, to bardzo łatwo odgadnąć, bo to  
światło jest kolorowe i na każdą rzecz taki  
blask rzuca.

ZOSIA. Tylko że to nie jest kolor prawdzi-  
wy i zaraz znika, jak tylko ogień bengalski  
zagaśnie.

DZIADZIO. A jednak barwy prawdziwe  
w gruncie nie wiele się różnią od tych sztuc-  
znych; zawsze pochodzą od zabarwionych  
promieni.

ZOSIA. Ale, mój dziadziu, tu przecież nie-  
ma żadnych błękitnych promieni, a moja su-  
kienka taka śliczna jak bławatek.

DZIADZIO. A jednak, gdy noc zapadnie i  
świecy nie będzie w pokoju, nikt nie rozpo-  
zna z pewnością, czy twoja sukienka błęki-  
tna, czy szara.

ZOSIA. To prawda... doprawdy sama już  
niewiem, dla czego...

DZIADZIO. Otóż ja ci powiem. Światło za-  
wiera w sobie promienie różnych barw, a te

zmieszane z sobą wydają się nam białe. Mo-  
żna to sprawdzić za pomocą ciekawego do-  
świadczenia. Bierze się mały krążek i nakle-  
ja się na nim paski papieru wszystkich kolo-  
rów tęczy; krążek ten wprawiony w szybki  
ruch obrotowy wydaje się biały, bo wszyst-  
kie barwy mieszają się nam w oczach. Ale  
jeżeli przeciwnie światło białe rozłożone zo-  
stanie na barwne swoje promienie, natenczas  
powstaje piękna wstęga tęczowa. Przykład  
takiego zjawiska przedstawiają wam owe  
plamki różnobarwne ukazujące się na ścia-  
nach, gdy promienie słoneczne igrają wśród  
szkiełek trójkątnych przy lampie, a na  
większą skalę, gdy tęcza zjawi się po deszczu  
na niebie. Ten rozkład światła powstaje w sku-  
tek załamania promieni, gdy przechodzą z  
powietrza do ciała gęstszego. Trzeba bo-  
wiem wiedzieć, że nie wszystkie te barwne  
promienie w jednakowej mierze się załamu-  
ją, ale jedne mniej a drugie więcej i wów-  
czas występują barwy. Tęcza ukazuje się na  
niebie, gdy promienie słońca rozłożą się  
w kropelkach mgły tworzących chmurę, a  
małutkie tęcze na ścianie, to są promienie  
rozłożone w owych szkiełkach, wiszących  
przy lampie.

ADAŚ. Proszę dziadzi, czemuż w szybach  
u okien nie rozkładają się promienie i żadne  
tęczowe plamki nie latają po ścianach?

DZIADZIO. Bo widzisz, w takiej płaskiej  
tafli szklanej promienie, o ile się załamią  
wchodząc, o tyle znów wychodząc się odła-  
mają; żeby je rozłożyć, trzeba promień bia-  
łego światła przeprowadzić przez szkło gra-  
niaste, o trzech kątach, zwane graniastosłu-  
pem lub pryzmatem. Oto macie podobne do-  
świadczenie przedstawione na rysunku. Pro-  
mień po jednej stronie szkła pojedynczy, po  
drugiej rozdziela się i ukazuje się szeroka  
wstęga barwnych prążków; na jednym jej  
brzegu jest pasek czerwony, bo promienie  
czerwone najmniej się załamują, na drugim  
fioletowy, bo fioletowe promienie załamują się  
najwięcej. Ale nie dość na tém; za graniasto-  
słupem umieszczona jest soczewka, szkiełko  
wypukłe; ono ma taką własność, że wszyst-  
kie promienie, przechodząc przez nie nachy-  
lają się do jednego punktu, w którym się  
zbiegają i w tym punkcie ukazuje się znów

plamka białego światła. Widzicie więc na tym rysunku promień rozłożony i ten sam promień złożony na nowo.

ZOSIA. Chciałabym bardzo zobaczyć naprawdę takie słiczne doświadczenie. Ale dziadziu, z tego wszystkiego nie zrozumiałam jeszcze wcale, dla czego dziadunio mówił, że moja sukienka jest błękitnymi promieniami oświetlona? W niej przecież niema żadnego szkiełka do rozkładania promieni.

DZIADZIO. Tu już nie szkiełko, ale tkanina twojej sukienki je rozkłada; ona pochłania wszystkie inne promienie, tak jak gdyby je gasiła, a pozostawia tylko błękitne i te w całej okazałości jasnieją na powierzchni twojej sukienki.

ADAŚ. Widzisz, Zosiu, to tak zupełnie, jak gdyby twoja sukienka wszystkie barwy połączyła i czerwoną i żółtą i wiele innych, a błękitnej nie mogła i ta została na wierzchu.

DZIADZIO. Coś nakształt tego rzeczywiście.

ZOSIA. Mój Boże! cóż to my ciekawych rzeczy dowiedzieliśmy się o tych dziwnych promieniach; a wszystko ztąd poszło, że się ten zabawny obrazek zrobił w sieni.

M. J. Z.

## ANEKDOTY HISTORYCZNE

### z Waleryusza Maksyma.

Żywe przykłady niektórych przymiotów charakteru.

(Jest to ustęp z obszerniejszej całości, przygotowanej do druku przez pana Kazimierza Kaszewskiego, który nam łaskawie pozwolił korzystać z niewydanej swojej pracy. Waleryusz Maksym (Maximus) historyk rzymski, pisał w I wieku po Chr.)

### Niezlomność charakteru.

Rozważywszy otwarty a dzielny charakter, słuszną wiarą w siebie ogrzany, mam niejako obowiązek przedstawić wytrwałość. Leży to bowiem w istocie rzeczy, że jeśli ktoś wierzy w to, iż zamiar jakiś podjął zgodnie z porządkiem i rozumem, to powinien go po doprowadzeniu do skutku dzielnie w obec przeciwników

bronić, a niedoprowadzony jeszcze, wbrew wszelkim przeszkodom, bez żadnego wahania się urzeczywistniać.

Dziwna to wytrwałość w miłości dla kraju, jakiej Q. Fabius Maximus niezmordowanie okazywał przykłady.

Założył on własne pieniądze na wykup jeńców znajdujących się w mocy Hannibala; rząd odmówił mu zwrotu tych pieniędzy: on zamilkł.

Kiedy był dyktatorem <sup>(1)</sup>, senat we władzy porównał z nim dowódcę jazdy Minucjusza: on i tu zachował milczenie.

Wielu oprócz tego dotknięty urazami, zachował takż sam spokój, i tak był niewzruszonym w miłości swój dla współobywateli, że nigdy nie pozwalał sobie oburzać się na Rzeczpospolitą.

Nie równaż temu była wytrwałość jego w prowadzeniu wojny? Widział on że państwo rzymskie, zniszczone niemal klęską poniesioną pod Kannami, nie jest w stanie wystawić nowej siły zbrojnej. Uważał więc, że lepiej jest udaremniać i omijać napady Kartagów, niż potykać się z nimi w otwartym boju.

Drażniony przez Hannibala częstemi obelgami, niejednokrotnie nawet łudzony przezeń widokami pomysłnego obrotu rzeczy, nigdy, dla małej nawet potyczki, nie odstąpił od postanowienia, które za zbawienne uważał; a co najtrudniejsza, wszędzie okazał się silniejszym nad gniew i nadzieję. Jak przeto Scypio, walcząc, tak on, walki unikając, największe przysługi wyświadczyli ojczyźnie naszój: tamten bowiem pośpiechem swym Kartaginę zwyciężył; ten odwłoką sprawił to, że Rzym nie został zwyciężonym.

Opowiadanie następujące wykaże, z jaką dziwną wytrwałością postąpił sobie konsul Kajus Pizo podczas największego wzburzenia Rzeczypospolitej. Zgubnemi pochlebstwami Marka Palikana, największego wichrzyciela,

(<sup>1</sup>) W razie wielkich niebezpieczeństw krajowych, w Rzymie ustanawiano urząd tak zwanego dyktatora, który stawał na czele całego państwowego porządku i przyjąwszy na siebie całą odpowiedzialność za sprawy kraju, miał też władzę nieograniczoną.



ujęty lud, zmierzał do spełnienia ostatecznej hanby na wyborach konsularnych, pragnąc władzę najwyższą (konsulowską) powierzyć temu człowiekowi, któremu za jego bezecne czyny raczej przykładną karę wymierzyć należało, niż go na zaszczytny forytować urząd. Do tej ludowej zapamiętałości przyłączyły się też pochodnie trybuńskie, niby Furię, gotowe towarzyszyć jego szalonym zapędom, a słabnącego swemi podnietami krzepić.

W tak opłakanym i wstydu pełnym stanie wzburzonego miasta, trybunowie niemal na rękach wnoszą Pizona na trybunę, obchodzą go na wszystkie strony i pytają: czy on uzna drugim konsulem Palikana, którego lud głosami wszystkimi na tę godność wynosi.

Pizon odpowiada nasamprzód: że nie spodziewa się, ażeby Rzeczpospolita do tego stopnia uległa ślepotcie, iżby zażgrzęznąć miała w takiej ohydzie.

Gdy go zaś napierali coraz bardziej, mówiąc:

— Ale gdyby tak było, cóż uczynisz?

— Nie uznam, — odpowiedział.

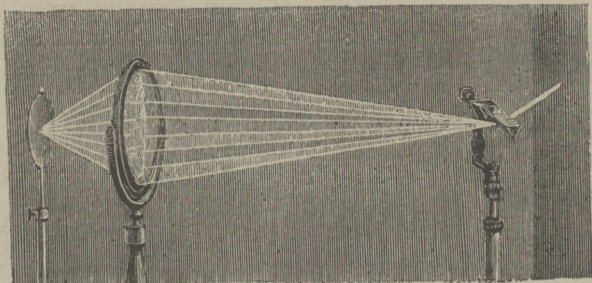
Tak stanowczą odpowiedzią wydarł Palikanowi konsulat, wprzód jeszcze nim go tamten otrzymał. Pizon naraził się na wiele strasznych niebezpieczeństw, nie chcąc ugiąć zacnego duszy swojej hartu.

Metellus znów Numidyjski, skutkiem podobnejże tęgości charakteru ściągnął na siebie burzę, która, ze względu na jego zacność osobistą i czystość obyczajów, nigdy go nie była powinna osiągnąć. Zauważywszy bowiem, dokąd zmierzały usiłowania Saturnina, złowrogiego trybuna ludu, i przewidując wszystkie nieszczęścia, w jakie one wtrąca Rzeczpospolitą, jeśli im się nie zapobiegnie, wołał udać się na wygnanie, niż prawu się jego poddać. Możnaż kogo nieugiętszym nazwać od tego męża, który, ażeby nie odstąpić od swego przekonania, wołał ustąpić z ojczyzny, w której najwyższy stopień dostojeństwa zajmo-

wał? Jeżeli nikogo wyżej nadeń nie stawiam, mogę z nim wszelako słusznie porównać auggura Kwinta Scewolę. Po rozbiciu i rozproszeniu przeciwnego stronnictwa, Sylla zająwszy Rzym, zwołał z bronią w ręku senat i nalegał z całą gwałtownością, ażeby Maryusza czémprędzej ogłoszono za wroga kraju. Nikt nie śmiał iść przeciw jego woli; jeden tylko Scewola zagadnięty o to, zdania wypowiedzieć nie chciał. Dopiero na coraz groźniejsze nagabania Sylli:

— Daremnie mi ukazujesz, — rzekł — zastępy wojsk, które mi osaczyłeś kuryą: a choćbyś mi i śmiercią zagroził, nigdy jednak nie dokazesz tego, ażebym ja dla marnej i zestarzałej krwi mojej, miał głosić wrogiem kraju Maryusza, który ocalił niegdyś Rzym i całą Italią.

Cóż na wspólnego kobieta ze zgromadzeniami ludu? Z uwagi na obyczaje ojczyste, nic: ale gdy spokój domowy fale zaburzeń naruszają, wtedy ustaje starego obyczaju powaga, każdy więc się daje powodować gwałtem, niż radą i



Rozkład białego światła.

nagleniem przywoitości. Na ciebie tedy powołam się, Sempronio, siostró Kaja i Tyberyusza Grachów, Scypiona Emilianą małżonko! nie dla tego, iżbym złośliwie nadużywać chciał twego imienia, wciskając je niedorzecznie pośród najpoważniejsze czyny mężów, ale iżby podać zaszczytną pamięci, jako ty, przez trybuna gminnego przed lud zebrany przyprowadzona, wśród największego wzburzenia, ani na krok nie odstąpiłaś od rodu twego zacności. Zmuszono cię stanąć w tym miejscu, gdzie o czoła najpierwszych obywateli kraju zwykły rozbijać się burze. Potężna władza nastawała na cię z groźnym obliczem, miotając groźby; wrzask ślepego tłumu ogłuszał; całe zbiegowisko w najgwałtowniejszy nalegało sposób, ażebyś pocałunkiem dała świadectwo za Ekw-



cyuszem, ubiegającym się bezzasadnie o prawa Semproniańskiego rodu, iż on jest synem brata twojego Tyberyusza. Ty jednak odepchnęłaś tego, nie wiem z jakich ciemności wydobytego potwora, który bezwstydnem zuchwalstwem wkładał się do obcej mu rodziny.

Nie oburzają się gwiazdy naszego kraju, jeżeli wśród ich świetnego blasku, ukaże się też cnota prostych setników. Bo jakkolwiek niższość społeczna winna szacunek dostojństwu, tak wyższość nawzajem zachęcać winna raczej niż lekceważyć niepospolitego charakteru rzadkość. Nie należy mi więc z rzędu tych przykładów usuwać Tytusa Poncyusza, który walcząc za sprawą Cezara, dostał się do niewoli Scypiona. Dowódca ten pod jednym warunkiem darowywał mu życie, to jest, gdyby przeszedł jako żołnierz do obozu ziemcia jego, Kneja Pompeja. Ale setnik bez wahania odpowiedział:

— Dziękuję ci, Scypionie; lecz pod takim warunkiem z życia korzystać nie myślę!

Zacna to natura, chociaż bez żadnych przodków!

Tę samą nieugiętość charakteru okazał Mewiusz, boskiego Augusta setnik, który podczas wojny z Antoniuszem, z wielkim często powodzeniem walcząc, wpadł nareszcie w nieprzewidzianą zasadzkę nieprzyjaciela i przyprowadzony został przed Antoniusza do Aleksandryi. Wódz zapytuje go:

— Cóż ja mam względem ciebie postanowić?

— Każ mnie zamordować,—odrzekł Mewiusz,—bo ani darowanie mi życia ani kara śmierci nie skłonią mnie do tego, bym przestał być żołnierzem Cezara, a twoim być począł.

Jednakże, im większą wzdargę życia okazał, tem łatwiej mu je przyszło uratować; Antoniusz bowiem mężstwo jego oceniając,

wolnością go obdarował. Wiele pozostałoby jeszcze do przytoczenia podobnych z dziejów Rzymskich przykładów; ale unikać trzeba przeciążenia. Pozwolę więc sobie zwrócić rylec ku obcym.

Sokratesa umysł, mężką uzbrojony siłą, przedstawił najwydatniejszej nieugiętości przykład. Cały gród Ateński, z najniesprawiedliwszej i najszpetniejszej pobudki, sromotnie skazał na gardło dziesięciu przywódców wojsk, którzy pod Arguzynami flotę Lacedemonów zniszczyli. Ale na szczęście, posiadał podówczas Sokrates władzę zatwierdzającą wyroki ludu. Poczytując za rzecz niegodną, ażeby z niegodnej przyczyny tylu i tak dobrze zasłużonych wojowników miało paść ofiarą wybuchu zawiści, wytrwałość

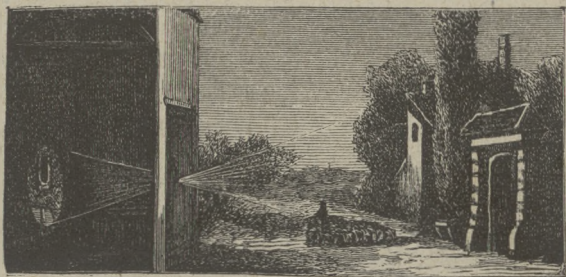
swą przeciwstawił zuchwalstwu tłumów, tak, że ani najhałaśliwsze okrzyki zgromadzenia ani najstraszniejsze pogrozki nie wymogły na nim, iżby powagą swą uprawnili to publiczne szaleństwo. Tak więc, przez opór jego lud, mając zamkniętą drogę do prawnego nadużycia, niemniej

ręce swe splamił krwią dziesięciu przywódców bezprawnie; a Sokrates nie lękał się ponieść śmierć, jako jedenasta ofiara szaleńczego rozgorączkowanej ojczyzny (<sup>1</sup>).

Następujący przykład, choć nie posiada takiego blasku, stanowi jednak niezaprzeczony dowód dzielności charakteru, w ścisłym spełnieniu obowiązków sądowych, wbrew osobistym uczuciom. Efialtes, przeznaczonym będąc w Atenach na oskarżyciela publicznego (<sup>2</sup>), zmuszony był pomiędzy innemi wymie-

(<sup>1</sup>) Jako winę tym dziesięciu dowódcom statków lud Ateński zarzucał to, iż po bitwie nie zbrali zabitych. Oni jednak tłumaczyli się tem, iż nie mieli czasu, gdyż niebawem wybuchła gwałtowna burza, która im nie dopuściła dopełnić tej czynności, mającej poniekąd znaczenie religijne. Tak tę rzecz objaśnia Ksenofon.

(<sup>2</sup>) To co u nas prokurator sądowy.



Promienie krzyżujące się w małym otworku.



nić imię Demostrata, którego synem był Demochares, pięknej powierzchowności młodzieniec, ścisłą przyjaźnią z Efiątem związany. Tak więc obarczony z jednej strony smutnym charakterem obowiązkowego oskarżyciela, z drugiej, ze względu na prywatne stosunki zstępując niejako na stanowisko oskarżonego, nie mógł zrazu wymódl na sobie, ażeby odepchnąć młodzieńca, który przyszedł go błagać, iżby względnie nalegał na ojcowskie winy, ani też patrzeć na niego, gdy mu, zawieszony u kolan, prośby za ojcem żałośnie powtarzał. Zasłoniwszy więc głowę, płacząc i jęcząc, wysłuchał do końca błagań młodzieńca, niemniej jednakże, wierne spełniając obowiązek, oskarżonego Demostrata potępił.—Oh! nie wiem, czy chwiałą większą, czy większą boleścią zwycięstwo to okupione; bo jużci Efiątes, nim zadał cios przestępcy, wprzód sam siebie zwyciężyć musiał!

(d. c. n.)

## Z DZIEJÓW SŁAWY.

### Adam Naruszewicz.

Pomiędzy licznym zastępem mężów, słynących z nauki, w których obfitowało panowanie Stanisława Augusta, uwydatnia się postać Adama Naruszewicza, jako niezaprzeczenie najsłynniejszego z polskich historyków, a przytém niepospolitego poety.

Naruszewicz urodził się 20 października 1733 roku, był synem łowczego pińskiego Jerzego. Osierocony w dzieciństwie razem z bratem Stanisławem, przeszedł na opiekę krewnych i kształcił się w szkołach jezuickich w Warszawie. Zakon, oceniwszy w nim wielkie zdolności i zamiłowanie pracy, jeszcze piętnastoletniego młodzieńca (w roku 1748) do stanu duchownego nakłonił.

Była to właśnie epoka, w której sławny Konarski, Pijar, na czele swojego zakonu przedsięwziął reformę wychowania publicznego. Jezuici stanęli do tego szlachetnego spółzawodnictwa z Pijarami—na czém wychowanie wiele zyskało—a nie chcąc się dać

wyprzedzić, zdolniejszych uczniów wysyłali dla kształcenia się za granicę; w téj liczbie młody Naruszewicz lat kilka w Lyonie na nauce przepędził, za powrotem zaś objął obowiązki nauczycielskie w akademii wileńskiej, w wieku kiedy inni młodzi sami się jeszcze uczą.

Dziewiętnastoletni nauczyciel niepospolitemi zdolnościami i pracą zwrócił na siebie uwagę ówczesnego gorliwego protektora nauk i wychowania publicznego, księcia Michała Czartoryskiego, kanclerza wielkiego litewskiego, który udzielił Naruszewiczowi środków dla odbycia naukowej podróży po Europie.

Z podróży téj młody zapaśnik nauki wraca już olbrzymem wiedzy. Jezuici, których zadaniem było, ażeby w walce z Pijarami, szkołę swoją w stolicy Rzeczypospolitej, tak zwaną *collegium nobilium* (znajdowała się w Warszawie na Starém-Mieście), jak najstaranniej obsadzać, powierzyli tam młodemu Naruszewiczowi najważniejsze nauczycielskie obowiązki, głównie zaś wykład poetyki.

Wiersz piękny i wzniosły na śmierć Augusta III (1763) wydobył imię Naruszewicza ze skromnego nauczycielskiego zacisza i postawił je na widowni sławy.

Na tronie polskim zasiadł miłośnik nauk, Stanisław August Poniatowski. Naruszewicz, niejako z obowiązku profesora poetyki, nie pomijał najmniejszej okoliczności, aby wierszem pochwalnym nowego pana nie uczcił. Od pierwszej chwili poznania, monarcha i uczony na długo złączyli się nierozzerwanym węzłem.

Odtąd Naruszewicz występuje na obszerniejsze pole sławy pisarskiej. Staje na czele redakcyi nowego pisma p. t.: *Zabawy przyjemne i pożyteczne*—razem z Albertrandim (<sup>1</sup>), a po odjeździe tego za granicę, sam pismem kieruje i wziętość jego ustala.

Rok 1772 nowe i właściwe drogi przyszłej działalności Naruszewicza, jako dzielnego historyka, otwiera: podejmuje on bowiem

(<sup>1</sup>) Jan Albertrandi, biskup zenopolitański, uczony i historyk polski; żywot jego w swoim czasie podamy.



ciężki trud przekładu historyka rzymskiego Tacyty, na co nikt targnąć się nie śmiał, dla wzniosłości stylu tego pisarza; nowy tłumacz zwalcza te trudności, w przekładzie stwarza nowe arcydzieło, które królowi poświęca. Stanisław August od tego czasu umiłował uczonego, nazwał go poufale swoim „*Nieruchą*“ i obejść się bez niego nie mógł.

Gdy Naruszewicz zmuszony był opuścić posadę nauczycielską, król obdarzył go dwoma bogatemi probostwami w Niemenczynie i Oniksztach, a on na jakiś czas poświęcił ulubioną naukę dla godnego spełnienia obowiązków kapłana i proboszcza, którym gorliwie się oddał. Lecz Stanisław August, zatęskniwszy za swoim uczonym przyjacielem, wezwał go napowrót do Warszawy. W tymże czasie, po wydrukowaniu 3 tomu dzieł Tacyty, król go orderem S-go Stanisława ozdobił.

Wtedy powziął Stanisław August szczęśliwą myśl, powierzyć Naruszewiczowi ułożenie w jedną systematyczną całość dziejów narodowych, które dotychczas spoczywały w surowym nieobrobionym materiale, rozrzucone po kronikach i dokumentach. W istocie wybór nie mógł być trafniejszym. Uczony mąż zajął się zgromadzeniem licznych materiałów do tej olbrzymiej pracy, król mu dopomagał funduszami i wszystkie archiwa publiczne tudzież prywatne stały dla niego otworem. Dla zachęty zaś, król mianował Naruszewicza koadytorem smoleńskim, przy biskupie Gabryelu Wodzińskim (1774).

Uczony nasz, zabrawszy się do godnego spełnienia wielkiej powinności, z nagromadzonemi materiałami usunął się na swoje poleskie zacisze, pomimo nalegań króla, aby w Warszawie pozostał.

W końcu dopiero 1779 roku zjechał tam Naruszewicz z całym zapasem materiałów do swojego wiekopomnego dzieła. Król go umieścił na zamku obok swoich prywatnych pokoi, wyznaczwszy mu 50 dukatów miesięcznie na kopistów. Stanisław August sam często odwiedzał Naruszewicza i wcale się nie urażał, kiedy uczony, nie lubiący przeszkody w poważnych zajęciach, bez ceremonii króla wypraszał.

Rok 1780 stanowi chlubną epokę w dziele

historycznym naszego piśmiennictwa, w tym bowiem roku ukazał się tom pierwszy *historii narodu polskiego*, który wszakże autor nazwał drugim, bo rozpoczynając w nim od dziejów chrześcijańskiej Polski za Mieczysława I, dzieje z czasów poganstwa później zamierzał dopełnić. Przy tej olbrzymiej pracy, znalazł jeszcze czas do napisania niemniej ważnego dzieła: *Żywot Jana Karola Chodkiewicza*.

Dziwić się wypada, jak ten miłośnik pracy czasem swoim kierował, bo prócz historii zajmował się rymami, i był ozdobą sławnych *czwartkowych* obiadów królewskich, gdzie się przedniejsze rozумы gromadziły. Nadto, gorliwie sprawował dwa urzędy: pisarza wielkiego litewskiego, oraz sekretarza rady nieustającej (od roku 1782). Do roku 1785 wydał wszystkie 6 tomów historii, którą niestety, dociągnął tylko do roku 1386, to jest małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą. Nagromadził materiałów 360 grubych tomów—ale czas i smutne wypadki rozproszyły je.

W roku 1787 towarzyszył królowi w podróży do Kaniowa dla widzenia się z Cesarzową Katarzyną II, i na żądanie monarchy napisał: *Dziennik podróży Stanisława Augusta króla na Ukrainę roku 1787*.

Wszakże do prac historycznych więcej nie wrócił; smutne przeczucia targły jego duszę, i nominacya na biskupstwo łuckie, tak dawno upragnione, pocieszyć go nie zdołała. Dotąd Naruszewicz nie miał czasu zasłynąć wymową kaznodziejską, a chociaż miewał do parafian swoich nauki ewangeliczne, lecz jako mówca zabłysnął dopiero przy schyłku żywota, w r. 1792, przy położeniu przez króla i senat kamienia węgielnego na *kościół Opatrzności* (1). Mówił jako kapłan i obywatel troskliwy o losy swojego kraju.

Resztę dni poświęcił Naruszewicz niepowstrzymanej tęsknocie, ciesząc ją tylko pracami około zajęć gospodarskich. Oto jak o tem pięknie powiada Klementyna Tańska: „Smutny, odrętwiały, bezczynny, jedne tylko piękności przyrody, jedne wiejskie prace

(1) Kościół ten nigdy nie był ukończony, ruiny jego fundamentów dochowały się dotąd w botanicznym ogrodzie w Warszawie.



obudzić, zająć go mogły. Widziano go nieraz, jak w płóciennój czamarze, w piękny dzień wiosenny lub chłodny wieczór lata, wychodził w pole. Tam mieszał się do pracujących kosarzy lub żeńców i rozmawiał z nimi, i nieraz ta sama ręka, która pióro dziejopisa z takim zaszczytem trzymała, zajęta była przetrząsaniem świeżo ściętych pokosów lub zbieraniem przeschłych garści zboża. A ten, który na dworze króla, ani wśród ksiąg tak długie mu lubych, żadnej już dla zranionego serca i skołatanego umysłu nie dopatrywał pociechy, znajdował ją w prostém, zbliżoném do ludu zatrudnieniu.“ (Rozrywki 1827—t. VII).

Zgasił Naruszewicz w Janowie, dnia 6 lipca 1796 roku, wieku swojego lat 63.

Pochowany w tamtejszym kościele, dla wstydu przyszłych pokoleń, dotąd nie ma godnego siebie pomnika!

O licznych dziełach Naruszewicza nie wspominamy tu, gdyż i tak nad zwykłe rozmiary artykułu pociągnęła nas sława nieśmiertelnego męża. Ciekawi bliższych szczegółów znajdą je skreślone dzielném i ciepłym piórem nieodżałowanego historyka Juliusza Bartoszewicza, w dziele: *Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku* (T. I. Petersburg 1855). A teraz słówko o Naruszewiczu, jako poecie, w czém pójdziemy za zdaniem Kraszewskiego, który oceniając jego ody i pieśni, lubo przyznaje że w nich wiele jest poezyi, wszakże twierdzi, że takowe wypływają często z różnych drobnych okoliczności, nie mogących natchnąć poety i zbyt są podchlebstwami napełnione, ostatecznie więc niewielką im wartość przyznaje. Lecz przechodząc do satyr, tak mówi: „Nigdzie Naruszewicz nie dał tak jawnych wielkiego talentu dowodów, jak w satyrach. Tu swobodny, posłuszny tylko natchnieniu, całą siłą powstaje na czasowe w obyczajach wady, na zepsucie, na śmieszność, chłoszcze je szyderstwami energicznymi, wytyka palcami. W nich okazuje co miał w duszy szlachetnego, pocziwego, staroświeckiego, a czego dworszczyzna, nie mogąc zabić, stłumiła tylko. W bajkach Naruszewicz ma również dobrą stronę.“

Roman Gryf.

## PAMIĘTNIKI JASIA.

OGŁOSIŁ

Piotr Jaksa Bykowski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Pod Rodzinną strzechą.

Córce zacnych przyjaciół, Halince Skibniewskiej,  
poświęcam, P. Jaksa Bykowski.

### I.

Pierwsze wejście, pierwsza pamięć dziecienna.

Kiedy wychodząc z niemowlęstwa, umiałem już zmysł wzroku łączyć z myślą i pojęciem, oto jest, co się dokoła mnie przedstawiało: na końcu wsi pod wygonem, czyli pastwiskiem wiejskiem, chatka prawie waląca się, wklęsnięta w ziemię, ze wszech stron podparta grubemi dylami; widziana zdaleka wydawała się jakąś lichą ziemianką, (¹) w której niktby się mieszkać nie odważył, wszakże zblizka przedstawiała miły i wdzięczny widok; nadzwyczajna czystość ją podtrzymywała i zdobiła w pewnym względzie; w każdej porze roku na świeżo wybielona wapnem, w lecie obwieszona dokoła girlandami ze świeżych liści, w zimie jodłą i sosną, zdawała się uśmiechać staruszką w tyni zalotnym stroju.

Dokoła chaty, grzędy z kwiatami i pachnącém zieleńmi wiele się przyczyniały do ozdoby i świeżości. Podwórko zawsze wymiecione jakby pańska komnata, od czasu do czasu, przy święcie piaskiem i tatarakiem usypane, sprawiało nieopisane wrażenie czystości, którą słusznie zbytkiem ubogich zowią.

Otóż ten *zbytek*, skoro tak go już nazwalismy, panował zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz; jedyna izba téj lepianki, małą tylko sienią poprzedzona, uderzała zdaleka schludnością i porządkiem—podłoga bez desek, z ziemi ubita, jak to na klepiskach i w u-

(¹) Tak na wsi zowią chatę napół wklęsłą w ziemię.  
(Przyp. Red.)



bogich mieszkaniach się praktykuje, zawsze na świeżo gliną wysmarowana i umieciona, lśniła się, jakby pałacowa posadzka. Piec duży, chociaż znacznie już przygarbiony starością, zaraz po każdym wygaśnięciu ognia oczyszczony i wymieciony; drzwi, ramy dwóch krzywych okienek i małeńkie w nich szybki wytarte i pomyte; łóżko jedyne, które z matką dzieliłem, otoczone kotarą ze świeżego perkalu—stoły, ławy i wszelki sprzęt był jakby najkunsztowniej polerowany. Na koniec naprzeciw jedynych drzwi, na najprostszej z przygarbionych ścian chatki, wznosił się rodzaj ołtarza — pośrodku, na starym czarnym krucyfiksie, spoczywał jak śnieg biały wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, po bokach cztery obrazy: Ś-ty Jan Nepomucen, patron dobrej sławy, a zarazem patron mój i ojca, nieboszczyka, Ś-ta Anna, patronka matki, Ś-ty Michał Archanioł, patron dziadzi i Matka Boska bolesna; wszystkie, choć ubożuchne, prostego pędzla, odznaczały się czystością—zdobiące je ziele świecone chociaż zeschłe, ale okurzone i wodą skrapiane, zdawało się kwitnąć do koła.

Ach! jeszcze nie wszystko!.. Zachowałem na koniec to, co najbardziej uwielbienie moje i zachwyt wzbudzało, a owym cudem był ganeczek u drzwi od podwórka, dziwnie misternej roboty; daszek zielony w trójkąt wspierał się na dwóch okrągłych niebieskich słupkach; na frontowej facyatce, znajdowało się oko opatrności na tle czerwonym, nadzwyczaj pięknie złotem malarzkiem wykonane, a u spodu dużemi białemi głoskami, napis, który mi utkwiał w pamięci:

„Jeżeli Pan nie strzeże domu, napróżno czuwają strzegący go.“

O, jakże w dzieciennych latach moich wpatrywałem się w ten ganeczek i napis! Już to prawda, że jak się później w dojrzałym wieku zastanowiłem nad znaczeniem tego ganeczku, leżał w nim poniekąd grzech pychy; mieszkaliśmy bowiem we wsi, tak zwaną szlachecką, gdzie także były i chaty chłopskie, ale tylko szlacheckie posiadały przywilej ganeczku; ilekroć chłopiek chciał go sobie przywłaszczyć, szlachta ten objaw ambicji zawsze obaliła, a pamiętam, że nawet bitwy nieraz o to staczano. Nasz zaś ganeczek był

przedmiotem admiracji i zazdrości wszystkich szlachty i lubo silili się sąsiedzi na nadsładowanie, jednak nie podobnie pięknego we wsi całej nie było.

Dotąd opisałem część naszej ubogiej zagrody, którą dziadzio Michał, niezrównany w swoim humorze, zwał *palacem*—pozostaje nam jeszcze tak zwana oficyna gdzie dziadzio, jak sam powiadał, mieszkał ze swoją rodziną. Była to bardzo schludna *obórka*, ręką dziadzi wzniesiona, wprawdzie z chrustu tylko, a jednak wyglądała na gustowny i piękny budynek; dzieliła się na dwie połowy, w ścianie poprzecznej były jedne drzwi, prowadzące do mieszkania *Pocziwój*, tak dziadzio przezwiał naszą krówkę, a w istocie jedyną karmicielkę naszej rodziny. Otóż i Pocziwa ze swej strony, jakby przeczuwając porządek i czystość, główne prawa domu, przestrzegała ich ze wszelką surowością.

Trzecią część obórki, do której prowadziły drzwi osobne w podłużnej ścianie, zajmował sam dziadzio z psem ulubionym Burkiem. Tu najprzód był wąziutki kurytarzyk, gdzie na samym końcu, na świeżej słomie, przy drzwiach pana, a przez ścianę od Pocziwój, spoczywał w nocy Burek, czuwając nad panem, a może bardziej z jego polecenia nad krówką. Drzwi w bocznej ścianie otwierały się do izdebki dziadzi, którą on z właściwym sobie dowcipem przezwiał *gabinetem ministra*.

Trudnym jest do opisanie ów gabinet, na który dziadzio cały swój kunszt artystyczny i zdolność wynalazczą wysadził. Cały ten gabinet zaledwie mieścił w sobie kilka niezbędnych sprzętów, wąski tapczanik z małą skórzaną poduszczką, prostym kilimkiem przykryty, co u dziadzi zwało się *puchowem łóżem*; dokoła tego na ścianie, symetrycznie ułożona w rodzaj armatury, połyskiwała jak zwierciadło (mówiąc bez przesady) broń rozmaita, pałasze, pistolety, strzelby i t. d.; wszystko wprawdzie proste i niedrogie, ale świecące starannym utrzymaniem, jakby złotem; u wężgłowia wisiało kilka obrazków świętych, otoczonych palmą, gromnicą i święconym ziele. Na półkach rzeźbionych z lipowego drzewa symetrycznie były pou-



kładane książki, w kącie stół biały, przy nim dwa stołki—nie przewidywałem, iż z czasem ten kącik miał się stać dla mnie przybytkiem mądrości. Pomiędzy półkami i gdzie się tylko zmieścić dało na ścianach, oklejonych prostym kolorowym papierem, wisiały wizerunki bitew Napoleona. Prawda, że człowiek z jakim takim poczuciem smaku uśmiełby się nad ich wykonaniem, były tam bowiem i czerwone konie i ludzie z niebieskimi włosami—lecz dość było widzieć tę cześć i poszanowanie, jakimi właściciel otaczał owe arcydzieła, aby obudzić w sobie zachwycenie: dla mnie przedstawiały one szczyt kunsztu, a na nich to z czasem nauczyłem się sławną historię konsulatu i cesarstwa.

Po ścianach tu i ówdzie rozrzucone były rozmaite napisy, w których się dziadzio lubował, polskie z łacińskimi pomieszane; żałuję, że ich nie zapamiętał, ale co prawda, było to jeszcze na mnie zawczasie; jeden tylko napis nad drzwiami utkwiał mi w pamięci, a dziadzio kazał mi go często powtarzać; były to pierwsze dwa wiersze które umiałem na pamięć:

„Ten pan zdaniem mojem,  
Kto przestał na swojem.“

Z czasem dopiero dowiedziałem się, iż ta głęboko filozoficzna maksyma, którą się rządził kochany dziadzio, wyszła z pod pióra ojca naszych poetów, Jana Kochanowskiego. W tym swoim gabinecie, pomimo że nie był opalany, przemieszczał dziadzio, prawie cały krągły rok, tylko w tęgie mrozy nocował czasem w naszej izbie przy progu.

(d. c. n.)

## Gra towarzyska

*Ciepła rączka.* Jest to gra spokojna, na odpoczynek dla dzieci ułożona.

Starsza osoba siedzi, a jedna z panienek, którą los wskaże, przykłęka, opiera głowę na jej kolanach, zasłania oczy, a rękę otwartą trzyma z tyłu na plecach swoich.

Każde z dzieci, jedno po drugim, uderza lekko w tę rękę, a ona zgadywać musi, kto

ją dotknął. Skoro pierwsza dotknie, drugie mówią razem:

Zgaduj, zgaduj, moja miła,  
Czyja rączka cię ruszyła,  
Do kogo ona należy?  
Nikt ci z pośród nas nie powie,  
Na tym właśnie gra zależy,  
Byś odgadła, jak się zowie.

Gdy panienka nie wymieni trafnie imienia pierwszej osoby, co ją dotknęła, drugie dzieci przystępują po kolei, ale muszą się cicho sprawować, żeby po krokach nie były poznane, ani po głosie. Jeśli się nie uda panience odgadnąć, kto ją dotknął, dzieci mówią:

Nie poznałaś, moja miła,  
Trzeba, żebyś powtórzyła,  
Bo się od nas nikt nie dowie,  
Jak się ciepła rączka zowie.

Gdy całe grono dzieci już się przesunie, a panienka nikogo nie odgadła, ustępuje miejsca komu innemu i daje fant. Jeżeli poznała kogokolwiek, wstaje, nie dając fanta.

## Zagadka historyczna.

Była córką królewską, a jednak wiodła życie tułaczę; w dzieciństwie o mało nie zginęła wśród zgiełku i zamieszek wojennych; wychowała się na wygnaniu, przenosząc się z miejsca na miejsce, nie powróciła nigdy do ziemi rodzinnej, której wielki zaszczyt przyniosła cnotami swemi i niepospolitemi przymiotami umysłu i serca. Wygnanka zasiadła na tronie potężnego państwa i zjednała sobie uwielbienie powszechne w przybranej swojej ojczyźnie. Imię jej ze czcią zapisane jest w historii tego narodu, chociaż nie wpływała wcale do spraw państwa i jedynie z cnót, nauki i miłosiernych uczynków słynęła. Najwyższe dostojenstwo nie dało jej szczęścia, Bóg ją nawiedził ciężkimi strapieniami. Była matką liczego potomstwa, lecz straciła kilkoro dzieci, a zgon najstarszego syna, ukochanego i pełnego nadziei, zadał jej cios śmiertelny. Jakież było jej imię?



**Łamigłówka zgłoskowa. (A. G. i M. S.)**

Z 35 zgłosek: cki—cy—cza—di—dir--  
dźwi—e—e—gna—graj—gród---gu—i—in—  
ki—lap—lec—na—na—na—ne—o—o—ra—  
raz—re—rie—rocz—sku—wa—wel—woc—  
yon—za—za—ułożyć następujące wyrazy: 1)  
Rzeka w Arabii, 2) Rzeka wpadająca do  
Dniepru, 3) Jezioro w Ameryce, 4) Nazwi-  
sko zasłużonego męża, 5) Przysiółek, 6)  
Miejsce przechadzki, 7) Miasto, 8) Rzeka we  
Francyi, 9) Skorupiaki, 10) Przysmak ro-  
ślinny, 11) Rzeka w Rosyi, 12) Nazwa psa,  
13) Imię, 14) Jezioro na Litwie, 15) Punkt  
w przestrzeni, 16) Bózek mitologiczny. Pierw-  
sze głoski, odczytane od góry do dołu, two-  
rzą tytuł pisma peryodycznego--ostatnie, od  
dołu do góry, tytuł drugiego takiegoż pisma.

**Zagadka. (M. Z.)**

Z czterech liter się składam, zwą mnie  
miastem przecie;  
Przeczytajcie z hebrajska, statek mieć bę-  
dziecie;  
Gdy zaś druga litera na końcu zasiędzie,  
W mocny trunek wnet miasto przemienio-  
ne będzie;  
Gdy znów teraz litery kto na wspak po-  
stawi,  
Przeczyta coś takiego, co mu przykrość  
sprawi.

**Łamigłówka w kwadraciku.**

W kwadraciku z 25 podziałek ułożyć:  
7 A—2 J—4 K—3 L—2 N—2 O—1 W—  
3 Z—1 Y—ażeby odczytać w pionowym i  
poziomym kierunku: 1) Miasto, 2) Imię bi-  
blijne, 3) Zabawkę, 4) Rozporządzenie wła-  
dzy, 5) To, co się widzi na wystawach.

**Zagadnienie arytmetyczne. (R. W.)**

Ustawić 49 liczb w kwadraciku z tyłuż po-  
działek złożonym, to jest po 7 w każdym  
rzędzie, tak, ażeby wydały jednakową sumę  
we wszystkich kierunkach: wzdłuż, wszerz i  
w ukos.

**Rozwiązania do N-ru 28.****Zagadki: Wiatr.****Łamigłówki kryształowej:**

• K  
S U M  
M A N N A  
S A R E P T A  
K U N E G U N D A  
K A T U S Z E  
H A N I A  
O D A  
A

**Łamigłówki zgłoskowej:**

- 1) Lamy.
- 2) Eden.
- 3) Ser.
- 4) Zaira.
- 5) Efez.
- 6) Kuc.

**Łamigłówki gwiazdki.**

- 1) Karol, 2) Narew, 3) Warta, 4) Ceres.

**Odpowiedzi od Redakcyi.**

P. Annie C. w Babsku Wieczory Rodzinne były za-  
prenumerowane na rok cały; tymczasem nadesłano nam  
przez księgarnią Gebethnera rs. 2 kop. 55 i drogą pry-  
watną rs. 2 kop. 55 jako prenumeratę za II półrocze.  
Rzeczony więc rs. 5 pozostają do dyspozycji sz. pani  
w Redakcyi.

Zolce K. w W. Serdecznie dziękujemy za miłutki li-  
ścik tak staranną kaligrafią skreślony. Prosimy pisywać  
często i donieść nam więcej szczegółów o pobycie w W.  
Czy ptaszki zlatują się zawsze na balkon? A oswojony  
Kruczek „Jakób“ nie przestaje być żarłocznym? Serdecz-  
ne pozdrowienie załączamy Mańci, Zosi, Julkowi i Zolce.

P. Bolesławie Gł. w Nieglinie. Prenumerata roczna  
„Wieczorów“ na prowincyi wynosi rs. 5 kop. 10—z na-  
desłanych rs. 6—pozostaje w Redakcyi do rozporządzenia  
sz. pani kop. 90.



# Ż N I W A.

## DWUŚPIEW.

*Allegretto.*

Brzę - czą sier-py wśród za - go - nów Od sa - mój ju - trzen-ki, A na wi-dok

Ma - tka zie-mia się nie sro - ży, choć tną jej ró - wni-ny, Boć ten ca - ły  
Więc też żeń-cy cią-gną sznu-rem I z sier-pem po plo - nach I z tą pie-śnią

bo-żych plo-nów Brzmia-raz-ne pio - sen - ki, Bę-dzie ja-ra, bę-dzie ży-to, Bę-dzie do-syc

lu-dek bo-ży Toć to są jej sy-ny, O-na kar-mi ich swym plo-nem W każ-de żni-wo  
co brzmi chó-rem na na-szych za - go-nach; A gdy kłos-ka już nie sta-nie, Splo-tą u-po-

chle - ba I w sto-dół-ce jak na-bi-to, cze-góż wię-ciej trze - ba? la la

no - we, I o-grze-wa włas-nym ło-nem, Gdy w niej zło-żą gło - wę.  
mi - nek, I za-wie-szą go na ścia-nie w szczę-snym dniu do - ży - nek.

la la la la la la la la la la la la la la la la

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Іюля 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke.**

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.